



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

TESKNOTA.

I.

Wpół-senne duchy owiewa
Przecuciem świtu;
W zmroki wiosenne przywdziewa
Szatę z błękitu;
Ucisza gwary i szумы
Skinieniem ręki;
Lirnikom szepcze ich dumy,
Ptaszkom piosenki;
Poezyą w krwi młodej płynie,
Z cichym szelestem;
Spłonionej mówi dziewczynie:
„Oto ja jestem“;
Na smutnem lieu drży cieniem
Spuszczonych powiek;
I w pierś kołacze pragnieniem:
„Zbudź się! tyś człowiek!“;
Wśród tłumu staje milcząca,
Niby sierota,
I myśli skrzydła potrąca—
Mgiełka-tesknota.

II.

Zwycięzka prawdy potęgą
Ducha uderza;
Czoło pochyla nad księgą,
Krzepi szermierza;

Do ideałów ramiona
Wyciąga, drżąca;
I w piersi chwyta, spragniona,
Złote skry słońca.
Nad błędem czołem czcicieli
Chwałą wybłyska;
Unosi z wieków topieli
Ducha zjawiska.
Potężnem pragnień poczęciem
Rodzi olbrzymy;
I ust zdmuchuje dotknięciem
Poziome dymy.
Kogo poślubi—ten szczyty
Orłem przeleci,
Aż ujrzy ciche błękity—
Przystań stuleci,
I już nie zazna pokoju
Cichej godziny,
Aż się napije u zdroju
Pierwszej przyczyny.
W mędrca rozbudza pragnienia,
Podniosłe, czyste,
I wraza w ludów sumienia
Prawdy wieczyste.
Jest tchem idącej ludzkości
W pracy i znoju—
Uśmiechem nieskończoności,
Sztandarem w boju.
I wschodzi w ducha głębinie,
Cicha i złota,
Aż w blask wszechwiedzy wypłynie—
Gwiazda-tesknota.

III.

Drży, woła czynu, płonąca,
Ziemię popycha
Przez noc chaosu—do słońca;
Walką oddycha.
Pierś jej—to wulkan; jej oczy—
To zorza krwawa.
Przez śmierć do życia, grzmiąc, kroczy,
Przez gwałt—do prawa.
Dłońmi własnymi rozrywa
Pąki przyszłości
I na dzień biały dobywa
Kwiaty ludzkości.
Wre, milcząc, i tajemnicze
Roznieca żary;
A gdy odsłoni oblicze,
Świat kona stary;
Jady krzywd zbiera—i mierzy,
I pije błada;
Aż gdy godzina uderzy,
Piorunem spada.
Walczy—i pragnie—i płonie,
Duchami miota,
I chodzi w ogniów koronie—
Burza-tesknota.

IV.

W wygasłe wpatrzona światy,
W gwiazdy strącone,
Na piersiach zeszcłę ma kwiaty,
Z dumań zasłone.

Zliczyła wszystkie mogiły,
 Wszystkie ofiary;
 Do walki brakło jej siły,
 Celu — i wiary.
 Co ziemskie, rzuciła ziemi;
 Dziś, z sercem zgasłem,
 Oczyma patrzy cichemi
 Za nowem hasłem.
 Groby miłością oplata,
 Jak gniazda puchem;
 Na świecie, lecz nie ze świata,
 Cieniem jest, duchem.
 Czar wspomnień, ból rozłączenia,
 To jej istota;
 Życie, jak powój, ocienia —
 Ciszą-tęsknota.

Marya Konopnicka.

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

II.

Nauczycielka — Guwernantka.

(Dalszy ciąg).

Gdy guwernantka raz uznanie rodziców pozyska, i upełnomocniona przez nich, stanowisko swoje nauczycielki i wychowawczynie obejmie; już od tej chwili należy jej się z jednej strony władza nad dziećmi, równa rodzicielskiej; z drugiej rodziców samych zaufanie i szacunek, uszanowanie — uszanowanie tak wielkie, jak wielką jest godność, powaga nauki i złączona z nią dostojność nauczycielskiego stanu. Przecież czem człowiek sam jest mniej naukowym, tem mniej podniosłość naukowych zajęć pojmuje, tem mniej je ceni, wielki ich trud rozumie i w stosunku do tego nie oddaje ludziom naukowym czci im należnej. Wprawdzie zdarza się nieraz, wręcz przeciwnie, spozstrzegać tę cześć u prostaczków najzupełniejszych; zdarza się nieraz widzieć, jak ze wzruszającym niższości swej uznaniem otaczają nią ludzi, naukę przedstawiających: ale są to osobistości wyjątkowe, obdarowane wrodzoną umysłu podniosłością, którym tylko położenie towarzyskie, lub inne życia okoliczności nie pozwoliły, aby same naukowymi zostały. Tacy posiadają instynktową miłość nauki, instynktowne jej poszanowanie. Co innego przecież jest z dobrowolnymi ducha prostaczkami, z tymi, którzy odwrócili się sami od źródeł światła, niezdając, niepotrzebując żadnej wiedzy wyższej, żadnego ograniczonych pojęć rozszerzenia. Ojcowie rodzin, dojrżeli z paniczów, którym swoboda życia uśmiechała się zawczasie, których próżniactwo nęciło; matki będące niegdyś lalkami, ładnych sukienek żądnymi jedynie, zalotnymi nicościami salonowymi — wszelkiego rodzaju nieuki w takiej sferze społecznej, gdzie ciemnota umysłowa stanowi już cechę nędzy moralnej, nietylko naukowości szanować nie umieją, ale okazują jej lekceważenie niedbałe, pogardę wyniosłą. Jest to wewnętrzny wstyd nieoświecenia swojego, złączony ze złą pychą, która się nie chce do niższości przyznać i woli wyższość poniżać; powstaje ztąd wstręt do osób, które tę wyższość posiadają i imponują im tajemnie. Niekiedy jeszcze bywa to prosta tępość grubych, niekształconych umysłów, które użytków nauki zrozumieć niezdolne, za nieużytek ją uważają i jako taki traktują; cała przecież kategoria ludzi podobnych, dając dzieciom swoim naukę jakąkolwiek, ulega głównie przewadze opinii powszechnej i nauczycieli naukę tę niosących uważa za złe konieczne. Z miłości rodzicielskiej ponoszą oni ofiarę zętknięcia się ze złem owem, ale czynią to z ciężkością, i przymus zadawany sobie ujawnia się przez niechętnie względem osoby nauczycielskiej usposobienie, zaznacza się brakiem uszanowania jej w sto-

sunkach życia codziennych. Dzieciom wprawdzie uszanowanie to poleca się, nakazuje się posłuszeństwo kierunkowi guwernantki; ale dzieci widzą niemniej, że rodzice guwernantkę ową lekceważą, i ziarno podobnego lekceważenia, więc nieuległości, oporu dla władzy nauczycielskiej zasianem zostaje. Co za tem idzie? — łatwo zrozumieć. Z rozważanym urokiem nauczycielki, przepada urok nauki samej, bo dzieci nie są zdolne oddzielić abstrakcyjnie jednego od drugiego, czują wreszcie, że nauka ta nie jest żadną rzeczą wielką, skoro osoba która ją posiada, tak nisko jest postawiona w hierarchii stosunków ludzkich: więc lekcye zaczynają iść złe; pilności, dbałości o nie zaczyna braknąć, repressya ze strony nauczycielki staje się potrzebną, przychodzi rozdrażnienie wzajemne, tak ze strony nauczycielki, jak ze strony dzieci; rozdrażnienie, w które ostatecznie rodzice muszą być wnieśnani i rzecz się wika, płacze; co mogło być łatwem, przetwarza się w trudność, mozolnie pokonywaną. Nie może już wtedy być mowy o wpływach wychowawczych, które miały współpracować z działaniem rodzicielskim i zastępować je w chwilach pewnych: już one zupełnie udaremniłymi zostały, a nawet dziecko zepsuło się moralnie pod względem wielorakim — bo najpierw, nauczyło się być dla kogoś nieprzychylnem, komuś nieprzyjaznem, i wywołało sobie z piersi młodej wszystkie uczucia ujemne, jakie podobnemu stanowi psychologicznemu towarzyszyć muszą; powtóre, spróbowało łamania się zuchwałego z tem, co przecież było mu pierwotnie przedstawione, jako władza prawa; doszło do niekarności, do samowolnego oporu, co w koniecznej konsekwencji da się wkrótce uczuć i rodzicom samym. Zostawiając to przecież na boku, widzimy, że główny cel ofiary rodzicielskiej pod moralnym i materyalnym jej względem, główny cel wprowadzenia guwernantki pod dach rodzinny — korzyści naukowe dziecka, zmniejszyły się niezmiernie, jeżeli nie zniknęły zupełnie, a pierwsze takie postawienie się młodej istoty względem nauki, może wyrzucić wpływ niezmierny na całą jej przyszłość w tym kierunku, może zwichnąć ją przez sfalszowany pogląd na rzeczy, przez zarody wad w młody organizm wszczepionych. Ale przypuśćmy, że złe nie posunęło się tak daleko; że szczególnie dobra natura dzieci i wyższy takt guwernantki uczyniły położenie znośniejszym, względnie dobrem: czy niemniej ów „cel“ tak całkowicie osiągnięty zostanie, jak mógł być osiągnięty zostać? Guwernantka potrafiła powagę swoją nad dziećmi utrzymać, władzę zachować i tak jej używać, że posłuszeństwo nigdy jej wypowiedzianem nie zostało; że dzieci nawet — co uważam za rzecz konieczną — przywiązały się do niej. Czy w takim razie mimowolna krytyka postępowania rodzicielskiego nie przyniesie jakiej ujemy w pojęciu dzieci, choćby tylko dobroci serca rodziców? Pomijam przecież i to jeszcze; pomijam już ten poczciwy żal, jaki wiem, że się nieraz w młodych serduszkach budzi, gdy widzą guwernantkę przez rodziców poniżoną, i poniżeniem tem w milezeniu cierpiącą; ale istnieje tu czynnik drugi, z którym się liczyć musimy — usposobienie wewnętrzne guwernantki samej. Nie jest, nie może ona być, szczęśliwą w położeniu, jakie jej wytworzonym zostało. Jeżeli to jest osoba, tak razem rozumna i sercem zacna, że oddzielając dzieci od rodziców, nie usunie im dobrej woli swojej; jeżeli przez uczucie powinności będzie pracować nad niemi sumiennie, a przez dobroć serca doda do spełnianego obowiązku przychylność tkliwą, która się serdecznie troszczy o to, aby udzielana nauka rzeczywistym pożytkiem uczącego się dziecka stała — to przecież zastanowić nam się trzeba: czy niemniej jej zdolności nauczania będą takie same, jak wtenczas, gdyby zadowolona była z życia, jakie wiedzie? Przypomnijmy sobie, jak każda praca jest nam łatwiejszą, jak inteligencja nasza ożywia się, połot myśli wyższym się staje, gdy czujemy się szczęśliwymi? Uczucie takie jest względnie do moralnej osobistości naszej tem, czem słońce, pogoda dla organizmu fizycznego. Poruszamy się lżej, krew w nas nie krzepnie, władze wszystkie znajdują się w stanie nateżenia sił wyższego, i robota wszelka lepiej, prędzej, zręczniej nam idzie. Za smutkiem, który nas przytłacza, za przedłużonym stanem niezadowolnienia, idzie jakaś ociężałość ducha, której

daremnie się bronimy. Powołanie, które się nie oplaca, choć odrobinką jakąś szczęścia, zaczyna nam ciężyć i niema takiej cnoty, takiej ofiarności na ziemi, któraby nie traciła wtedy nic z moralnych swych przymiotów. Traci je również i nauczycielka, postawiona wśród okoliczności przykrych, wśród ludzi otaczających ją poniżeniem, bo trzeba sobie przypomnieć, że prócz rodziców i dzieci, istnieje jeszcze dla źle traktowanej guwernantki plaga najboleśniej dokuczliwa: sługi.

Sługi niewypowiedzianie szybko poznają: jak w szacunku państwa stoi osoba do domu przybywająca? Czy to jest gość, czy rezydent jakiś, lub dalszy rodziny członek, umieją oni z oznak niby drobnych poznać bardzo prędko: zali to jest ktoś miły lub obojętny, wysoko lub nisko ceniony? I według tego układa się ich własny stosunek do służności, lub zuchwałego niedbalstwa, niechętnego i połowicznego spełniania obowiązków służbowych, które im prędko zacieją, skoro przedmiotem jest osoba, nie mająca w ich przekonaniu prawa, aby obsługiwaną była. Bo czemże w ich pojęciu jest guwernantka? Czyż tak jak oni pieniędzy nie bierze? A przytem nietylko panna służąca, która panią stroi, ale gospodyni z folwarku, nianka nawet, uważa się za coś użyteczniejszego, bo *czyż tamta* siedząc w pokoju szkolnym, tak się namęczy kiedy, jak *one*? A niech państwo raz się zdradzą z niechęcią swą dla niej, niech raz spostrzeżonem to zostanie, że uważają ją za ciężar, kłopot przykry, życie biednej ofiary zatruduje się mnóstwem nowych, niemniej bolesnych choć drobnych udręczeń. Dodać do tego trzeba katusze odwiedzin w sąsiedztwo i tych chwil, gdy gość w domu się zdarzy, — chwil pełnych poniżenia innego rodzaju. Najlekkomyślniejsze, najpfochsze dziewczę, które wczoraj krótką sukienkę dziecka zrzuciło, jest niemal zawsze postawione wyżej od niej, choćby już była kobietą dojrzałą. I tak jest we wszystkim: średniowieczna pogarda pracy zawodowej każe zawsze mieścić ją na szarym końcu, i potrzeba z jej strony wielkiej umiejętności życia, wielkiej godności w obejściu się z ludźmi, aby zabezpieczyć się od tego i zapewnić sobie, jeżeli nie należyte miejsce w towarzystwie, to usunięcie się spokojne od tego towarzystwa, w którym jest pewnego rodzaju Paryż. W domach wielkopańskich, lub ton wielkopański naśladowujących, ostatnie to położenie bywa jej z góry naznaczonym i powiedziałabym, że obmyślano to najrozumniej, bo jakkolwiek samotność umysłowa i brak rozrywki, brak wymiany myśli daje się uczuć przykro i działa przygnębiająco, lepsze to zawsze od przymusowego obcowania z ludźmi, którzy nie mają dla nas względów należnych. W każdym razie przecież, — czy nas odosobnia od żywego ruchu świata lodowatą ścianą, wzniesioną na zasadzie poniżającej nas różnicy, czy różnicę tę pokażą nam w oczy ze szczerością grubiańską — zawsze cierpiemy, i życie nasze jest w głębi swojej zatrute goryczą bardzo cierpką. Nurtuje ona organizm nas duchowy i odbiera nam fantazję, jak się mówi pospolicie, to jest gasi żywość inteligencji, połot myśli i tę wesolą chęć do pracy, która istnieć może trwale tylko przy wewnętrznym zadowoleniu serca. Nie tak do ziemi nie przybija, nie tak niesmaku do życia nie wyrabia i ciężkiem go nie czyni, jak udręczenia ciągłe tej najboleśniejszego rodzaju, które osobistość naszą w jej miłości własnej, w jej godności samoistnej upakarzają. Najsilniejszy cios nieszczęścia, jeżeli nas od razu nie zabije, moralnie nie złamie, takiej głębokiej krzywdy wewnętrznej naszej istocie nie zadaje i z siłą, przymiotów, cnot wyższych tak jej nie obiera. Wszystko, co na moralną nędzę Iłotów wykazanem być może: tępość leniwej, ociężałej myśli; obojętność na wielkie, wzniosłe strony istnienia ludzkiego; wegetowanie niedbałe z dnia na dzień — rodzi się z życia pędzonego w narzuconem nam uczuciu niższości. Osadza się ono — życie takie — na moralnej naszej treści szarą powolną rozkładu powłoką, która wszelki blask nasz niszczy, siłę trawi, przegryza z wolna rdzą, którą duchy rdzewieją.

Gdy spotkam guwernantkę niemłodą, która z twarzą mumii egipskiej za stołem szkolnym siedzi, z twarzą mumii egipskiej lekcji słucha lub objaśnień udziela, gdy mi potem opowiedzą o niej w anegdotkach zabawnych, jak o tłusty kożuszek

na śmietance z kawiarką wojnę toczy, a do kuchni zagląda ciekawie, co dziś kucharz w rondelkach smarzy?; gdy ją spotkam śmiejącą się na weselach półsmiechem, pół łzą płaczącą na pogrzebach: serce wyschłe, umysł poruszający się jedynie za pomocą rutyny—pytam się siebie, z żalem głębokim: czy taką przecież była zamłodu, przy wstępie do nauczycielskich obowiązków swoich? Może umiała niewiele, jak trzy-czwarte nauczycielek, za mało i nie tak, jak względnie do zawodu swego umieć była powinna: czy przecież nie byłaby się w działaniu samem wykształciła, podniosła, rozwinęła stopniowo, gdyby życie było wykazało, że powołanie jej jest w rzeczywistości takim, jakim był ideał jego ukazywany jej zdaleka: czemuś wielkiem, pięknem, jak kapłaństwo uświęcającem? Ludzie przecież zaprzeczyli temu prędko: nie uszanowali, nie uczcili; dostojność naukowa okazała się dostojnością żadną, i jeżeli nieboga mimo braków swoich śniła przecież jakiś sen podniosły, heroiczny, uczuła się najpierw w walce z tem, co jej życie dawało, potem przystała pokornie na przegraną, bo wygrywają tu jedynie natury wyjątkowe, bardzo wysokie, bardzo nad poziom popolitości podniesione, które są zdolne małością tłumów spokojnie pogardzić, i zasadę nad starcie wszelkie nienaruszoną wynieść. Ile jest przecież osobistości takich? Jaki w zawodzie każdym procent ich być może? Ten to procent jedynie, ta mniejszość wybrana zwycięsko z walki wychodzi, reszta nie rozwija się, nie doskonalą w działaniu, z postępem naprzód nie idzie, lecz przeciwnie ku dołowi się osuwa, i choć trochę korzyści z doświadczenia pedagogicznego się wyniesie, to się korzyści tę w rutynie zatopi, a powołanie, którego ukochać nam nie dozwolono, którego wysoki szacunek nam odebrano, szlachetność w pośmiewisko obrócono, rzemiosłem się staje, i z mechaniczną rzemiosłowością spełnianem bywa.

Matka każda z samego interesu, z samej dbałości o pożytek dzieci, powinna starać się o to, aby życie guwernantki było w jej domu życiem o ile można szczęśliwym i wolnym od tych wszystkich gorczy, którymi napawają je tak często. Podnieść guwernantkę w szacunku, to nietylko podnieść przed oczyma dzieci majestat i znaczenie nauki, nietylko nauczycielce samej ważność jej obowiązków przypominać—to nie wszystko jeszcze. Uszanowana i uszanowaniem tem szczęśliwa, staje się przez naturalne i konieczne oddziaływanie uczucia na umysł, przez wzajemny ich zwrot na siebie, chętniejszą, zdolniejszą do pracy, bo władze intelektualne, niegnębione ciężarem zniechęcenia, znękania moralnego, działają żywiej, lepiej, skuteczniej. Szczęście—powtarzam—to dla ducha ludzkiego promień słońca ciepły: ogrzewa i rozbudza, wewnętrzną naszą istotę w głębi swojej zwinęłą, na pełnię życia wyprowadza i każe jej działać, ruchu, czynności żywej pragnąć. Takim też zawsze jest skutek zapewnionego guwernantce dobrostanu życia, które miłem jej być może: jest zawsze dobroczynnym ożywieniem guwernantki i pożytkiem dzieci, a środki potemu zawsze rodzice w rękach swoich trzymają.

Czy przecież sam przesąd pysznego wynoszenia się nad osobę, która pracować na chleb potrzebuje, sam brak należytego cenięcia nauki na to się składa, aby guwernantka nie znajdowała w otoczeniu swoim odpowiednich jej względów? Patrząc w rzecz głębiej, znaleźlibyśmy i coś nad to jeszcze. Rodzina jest niezawodnie organizmem istic żywym, w którym żywioł obcy zaznacza się konieczne pewnym zaburzeniem jego spokoju, bo naruszeniem tego przywileju, abyśmy wszystko co się w koło nas znajduje czuli *swójem*, do siebie należącym, wspólnością uczuć i interesów tak z nami związanem, że moralną jedność z nami tworzy. Guwernantka jest przecież osobą nam obcą; nie łączy nas z nią to nawet uczucie wzajemnie doznanej sympatii, która nam gościa, przyjaciela w dom wprowadza; a przecież musimy ją tam wpuścić głębiej, niż gościa i przyjaciela tego. Będzie odtąd przebywać z nami stale, żyć niejako życiem naszym, i ztąd całe to życie, wszystkie jego złe i dobre strony staną dla niej otworem. Mamy odtąd w tej obcej kobiecie świadka nieustannego: może a nawet musi ona gusta, nawyknięcia nasze poznać, zasoby oszacować, słabości odkryć. Jeżeli się poczuwamy w sobie do wady jakiejś, to nam się odtąd trzeba

z niej poprawić, a przynajmniej nie ujawniać jej i wrodzona człowiekowi niechęć odstonięcia braków, niedoskonałości swoich, występuje tu przeciw nowo-przybywającej. Miłość rodzicielska, uczucie potrzeby niechęć tę faktycznie łamie, ale zaród jej tkwi i napawa nas cierpkością pewną. Mówimy sobie, że wygoda, swoboda domowa jest już w połowie straconą, i gniewamy się nie na położenie rzeczy, któreśmy przyjęli, ale na niewinną jego ofiarę. Zapominamy być dobrymi, zapominamy być ludzkiemi; przeszkoda zawadzająca nam drażni humor i patrzymy na nieznana nam osobę przez szkło zaciemnione; odkryte przywary powiększają się w tem szkłe niewiernem, często zaś często bardzo, przymioty same nie podobają się i bywają niezadowolonia naszego przedmiotem, bo przypuszczamy, że naturalne ich działanie w drogę nam wejść może. Wszystko przecież, co się w tym kierunku najrozmaiciej objawia, odnosi się razem do jednej i tej samej rzeczy: jest to wśród ciała rodzinnego osobistość obca!...

Jak przecież na to poradzić, jak usunąć to, co poniekąd z natury rzeczy wynikać się zdaje? Nie raz nad tem myślałam i doszłam do przekonania, że istnieje środek jeden tylko—jedyny. Wzbudzić w sobie dla samotnej, pod obcym dachem mającej żyć, kobiety uczucie dobre, które nie jest już prostego instynktu, więc prostego, zwierzęcego egoizmu wynikiem, ale wyrobem istoty naszej moralnej, uczucie tkliwe, na miłości bliźniego oparte, któreby było przybraniem do rodziny tej, co rodziny własnej obok siebie nie ma, i przy cudzem ognisku domowem siadać musi—uczucie, czyniące ją niby siostrą wśród rodzeństwa, córką dla rodziców. Gdy raz nakazemy to sobie jako wyższą powinność chrześcijańską, powinność szlachetnie ludzką, gdy matka rodziny tak przybywającą na progu domu swego przyjmie, i całe rodzinne koło do takiego przyjęcia serdeczną odezwą zawezwie, rzeczy dziwne się uproszczą, ułatwią, bo serca nagle się otworzą i obie strony zaczęła działać pod popędem natchnień uzacniająjących. Chciałoby się, doprawdy, powtórzyć za pozytywistami, że cnota jest nawyknięciem pożytecznem, bo to, co w stosunku między ludźmi pojętym jako walka o byt, jest ostrem, ciężkiem i bolesnem, staje się łagodnie i spokojnie rozwiązaniem, gdy uczucie umoralnionej ludzkości wprowadzonym do sprawy zostanie. Niech rodzina przyjemie guwernantkę, jak nagle przybywającego jej członka, niech ją usiłuje wcielić w siebie szczerze i niepowierzchnie, ale przez poczucie się do poezciwego obowiązku przytulenia istoty samotnej a wnet zadzierżgnie się węzeł wzajemnej przychylności, przyjaźni, przywiązania wdzięcznego i nie będzie już wśród rodziny jednostki obcej!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

IGNACY KRASICKI

J. I. KRASZEWSKI

Polymaci XVIII i XIX w.

porównał Dr. H. Sk.

„Tych szeroko a rozgłosnie z dzieł znanych ludzi, chcemy dać poznać bliżej, jako postaci wybitne swoich epok, jako poetów, pisarzy i moralistów“. „Instynkt ogółu, *vox Dei*, nie myli się nigdy. Krytyka może słabe wykazać strony: czas, smak i pojęcia odmienia; lecz *sila* jaką pisarz na współczesnych działał, świadczy o sobie, że istniała... i dla tego... zwraca na siebie oczy“.—J. I. K. w *Ateneum*, 1878, T. I, str. 195.

Każda epoka ma swych przedstawców wybitniejszych, wyobrazicieli znakomitszych, godnych wybrańców stojących na ogrzewającym kraj świeczniku. Takim był w XVIII stuleciu Krasicki; takim w XIX wieku, jako przeobraziciel literatury, stał się Mickiewicz; takimi kulminacyjnymi punktami w *poezji*, świecili w naszych czasach Sło-

wacki i Krasicki, a w *prozie* zajaśniał Kraszewski.

Gdyby piśmiennictwo polskie nie miało więcej nad pięć wspomnianych imion, jużby zasłynęło w dziejach literatury powszechnej.

Polymatów z dwóch różnych okresów postawiliśmy tu obok siebie, jako analogię, zanadto w oczy uderzającą.

J. I. Kraszewski kreśląc przewyborne studium o Krasickim we czterech numerach „*Ateneum*“ tegorocznego, (T. I, zeszyt 2 i 3; T. II, zeszyt 2 i T. III, zeszyt 1) określił zarazem i samego siebie. Czytelnicy dowodnie przekonają się o tem ze słów i porównań naszych tutaj rzuconych.

Eloges (pochwały) Akademii francuzkiej miały zwyczaj zestawiać dwie znamienitości współczesne lub dawniejsze obok siebie. Czynniono toż samo poniekąd, naśladowując w naszej wymowie (szczególniej w głosach pochwalnych b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Towarzystwa naukowego z uniwersytetem Jagiellońskim połączonego), także zestawienia.

Owe porównania dziwnie często wyglądały. Bo porównywać godzi się „podobne“ albo „odpowiednie“. Dla pokazania tylko różnorodztwa wybitnego, dwie przeciwne zestawio można postaci.

Przystają do siebie, jak matematyka twierdzi, dwa trójkąty równe. Rozwartokątny z ostrokątnym trójkątem nie są do siebie podobne, choćby nawet ich powierzchnia była równa.

Ale to tylko *powierzchnia*.

Powierzchnownie zaś nie należy porównywać, lecz gruntownie, zasadniczo.

Dmochowski w pochwałę Krasickiego *porównywał* go z Naruszewiczem!

„Naruszewicza czuć całą zakonną, z której wyszedł; obcy jest światu; zna historię i książki, widział trochę ludzi, ale w nim pulsa żywotne nie biją“ (*Aten.* T. III, 137).

„Trembecki przedstawia nie czas swój, ale typ swój i siebie. Mistrz we władaniu językiem niema w sobie myśli i woli, coby ten język zużytkowała. Natchnienie dlań zastępuje gniew, oburzenie, wola pańska, dworacza usłużność, fantazyja, chwilowy kaprys. Uwielbia i pluje na przemiany; nie ma ani poczucia terażniejszości, ani jasnego pojęcia celu i drogi. Wszystko mu obojętne“.

O innych epoki Stanisławowskiej pisarzach niewiele pochwalniej odzywa się Kraszewski. Utrzymuje, iż o nich, przy Krasickim, zaledwie wspomnieć się godzi. Karpiński „liryk bolejący, który ze światem ani się godzi, ani go rozumie. Śpiewa wdzięcznie, małym głosem, serca zeszełoczone dzieje“.

Kniaźnin „ma też coś z natury chorobliwej“ tęskliwego Justyny kochanka; ale jeden żył na puszczy dzikiej, drugi bujniej rósł na gruncie puławskim, kochając się w księżniczce i do niej zwracając swe groty strzeliste smętnej poezji. Karpiński spokojnie na wsi ubolewał; Kniaźnina miłość na wielkim dworze przypawiła o utratę rozumu; ale miał „nadewszystko zmysł artystyczny więcej rozwinięty niż talent, który służył Karpińskiemu“.

„Węgierski bawi się *poezją*, ale jej nie bierze na seryo; kładzie ją jak żabot i fryzurę, aby mu się na ulicy dziwowano; jest *ona* dla niego rozrywką, popisem, narzędziem pomsty, może środkiem uprzyjemnienia życia“ (L. c. III T. 138).

„Zaden więc ze współczesnych mierzyć się z Krasickim nie może“.

Przebieżmy teraz w krótkiej treści (bo, jak powiedziano artykuł, Kraszewskiego ciągnie się we czterech zeszytach „*Ateneum*“) co mistrz współczesny pisze o mistrzu zeszlowiecznym. Nie będziemy już przywozili stronie, tylko cudze myśli oznaczamy „ *cudzysłowami*“.

Zobaczymy, że zdania o Krasickim niejednen z czytelników może uważać za zdania historyka literatury o Kraszewskim.

„Krasicki czuje, rozumie i spełnia swe powołanie pisarza. Pracuje życie całe, na każde niemal pytanie swego czasu znajdując odpowiedź w głębi ducha.“

„Wszystkie wielkie zagadnienia epoki, jeśli nie są rozwiązane u niego, to przynajmniej dotknięte i wskazane; poczynawszy od emancypacji włościan, od otrząśnienia się z fanatyzmu i ciemnoty, aż do kwestyi stroju i mody“.

„Dreży go ta żądza podolania wszystkiemu

Jest ona może przyczyną, iż zbyt często bywa powierzonym; ale porusza rolę odlogującą, trzebi zagony, zdziera darnie z instynktową wiarą, że na nie przyjdzie ziarno i zejść musi“.

„W całym znaczeniu wyrazu jestto pisarz świadek swej epoki; pisarz przedewszystkiem, więcej nawet niż poeta.“

„... Niezmordowany, nieznużony, chwili nie jest bezczynnym; ustać nie może, znużyć go niepodobna; śmierć dopiero z ręki mu pióro wytrąca“.

„Wszystko, co pisze — a znak to jest wielki — echem szerokim odbija się w sercach i umysłach. Między nim a czytelnikami istnieje ten tajemniczy związek, który niezawsze nawet łączy geniusze ze światem“.

„Cała społeczność czuje w nim siebie, i on się czuje w całym społeczeństwie swoim: żaden typ jego epoki obcy mu nie jest, jakiegokolwiek-by pęci był i wieku“...

„Okolo książki Krasickiego kupi się, nie jedna klasa, ale wszystkie stany. Mówi on językiem dostępnym; rozumieją go wszyscy; i ci, co nigdy nie bywali w świecie myśli, w ślad za nim doni wracają ze swobodą i łatwością, której się dziwią sami“...

„Literatura (owoczesna) czynna, posłuszna swemu zadaniu, cała musiała utonąć w terażniejszości. Nie miała tej swobody, która dozwala duchowi lecieć i bujać w świecie ideałów; cisnęła ją rzeczywistość i trzymała przykutą do ziemi“.

„Krasicki idzie po ziemi zawsze; jest dziecięciem swego wieku; nie opóźnia się i nie zostaje w tyle poza ruchem jego, ani go wyprzedza; równo z nim mierzonym postępuje krokiem, posłuszny temu jedynemu zadaniu pisarzy krajowych, przeznaczonych, aby wywierali wpływ ogromny na współczesnych; — zadaniu: być wiernym tłumaczem idei wieku, pragnień i prądów swojego czasu“.

„Nie jest to ani Rabelais, ani Montaigne, ani wiekuiście i wszędzie wielki Szekspir; człowiek, w Krasickim, jest wcieleniem epoki, maluje to, co zna; pisze co czuł i przeżył; jest ciągle w żywym związku z żywym światem; ma jego ton, posłubia jego mowę, przybiera się w lekkość, stroi się w dowcip“.

* * *

Cecha charakteru Krasickiego: „był wyrozumiałym, pobłażającym, ludzi się nie obawiał, rachując na wpływ, jaki na nich wywierał, i nie wątpił, że każdego nawróci, jednając go sobie; potrafi... W charakterze jego było godzić się z każdym położeniem, nie opuszczać rąk nigdy, umieć się zastosować do konieczności, jakie los narzucał. Ze stoicyzmem znosił, cokolwiek go spotkało“...

„Z myśli i prac poważniejszych, z uczuć głębszych nie spowiadał się przed nikim. Okrywał się pozorną obojętnością, aby nikt nie zajrzał, co się w duszy jego działo“.

„Pospolity człowiek w podobnym położeniu czułby się złamanym, rozstrojonym, zniechęconym do wszelkiego w pracy udziału; byłby spoczął na dawnych laurach. Krasicki dawał przykład krzątania się w granicach możliwych, granice te starając się rozszerzać wpływem swoim. Najwyższą to zasługą, że... kierunek nadawał umysłom i torował drogę do pracy możliwej a pożytecznej“.

„Nie widzimy go ani złamanym, ani bezsilnym“.

„Chciał sobie zjednać miłość wszystkich, mało też miał nieprzyjaciół, a wielkie grono wielbieli“.

O Warszawie: „Miał na myśli rozbudzić tu życie literackie, do prac zachęcić... Czynnici się krzątali, chcąc okolo siebie skupić ludzi zdolnych, tworząc w dawnej stolicy nowe ognisko światła... Rozpoczął drukować „Co tydzień“ w rodzaju „Monitora“ dopomagając do wydawnictwa *Nowego Pamiętnika Warszawskiego*“...

Podstawiając zamiast „Monitora“ i „Nowego Pamiętnika“ *Gaz. Codzienną i Polską*, oraz *Przegląd europejski*, a miano Krasickiego zastąpiwszy imieniem Kraszewskiego, — to czyż słowo w słowo tego samego nie możemy powtórzyć o polymacie XIX wieku?

Ogrom pracy Kraszewskiego nieskończenie przewyższa wielość pism Krasickiego. Wszakże o tym

ostatnim mówi Fakundus Kleofas Pasternak Boleśław Józef Ignacy:

„Jak się tam czas dzielił, iż go stawało na wszystko? jest dla nas zagadką? Dla kogoż może nie być tajemnicą, jeśli dla Kraszewskiego staje się *zagadką*? Książę wprowadził na pokojach do jedenastej i dłużej się zabawił; ale i Kraszewskiego często spotykaliśmy do tej godziny w towarzystwach, a potem, późno w noc, wygrywającego Szopena przy fortepianie.“

Zrana w kaplicy Krasicki bywał na mszy. I Kraszewskiego widywaliśmy lat kilka z książeczką *Módlmy się* stojącego przy ostatniej kolumnie świątyni Pańskiej.

„Mnudzcy nachodzili go (biskupa) przyjezdni“. Toż samo bywa i z Kraszewskim, jako z prymasem i biskupem *in partibus... litteraturae*.

Ogrodowe zajęcia się Krasickiego równają się z Kraszewskiego zabawianiem się także ogródkiem, pędzlem, ryłcem, rycinami, wykopaliskami i t. p.

„Nie licząc *obfitych* korespondencyj Krasickiego“, dodaje Kraszewski. A ileż on sam ich pisze?

Po takich rzutach *zagadkowych* wyjaśnia okwistość księcia temi słowy:

„Prawda, że chwilki nie tracił ani w domu, ani w podróży, czytając, pisząc, notując ciągle. W powozie miewał zawsze książki, na popasach lub noclegach pisał i dyktował, — słowem, niespróżnował ani minuty. A miał też tę niezmierną łatwość pracy, którą daje i talent i wielka w niej wprawa“.

To wszystko nie wyrównywa jeszcze dwunastogodzinnej codziennej pracy J. I. Kraszewskiego.

Kraszewski, tak samo jak książę-biskup, potrzebuje dla serca i dla umysłu „towarzystwa, któreby go odżywiało, podbudzało do pracy, do pracy orzeźwiało i zaspakajało. mnogie potrzeby ducha i fantazyi“...

„Zamiłowaniu swojemu w sztuce i rzeczach pięknych mógł książę dogodzić. Było to dlań potrzebą życia“.

Było to potrzebą życia i dla Kraszewskiego. Znośnie zbierał całe życie niemal obrazy i ryciny, dopóki mógł zamiłowaniu swemu w sztukach pięknych dogadzać.

Ale gdy przyszła potrzeba założenia dla chleba... drukarni, poszły ryciny do „Suchej“, zwilżone, zaiście, łąką, a przynajmniej eichym żalem zbieracza!

Może niejedyn z czytelników ma żądzę zbierania czegokolwiek — łatwo więc osądzi jakie bywają męki wewnętrzne przy rozstaniu się z tem, na co długie chwile i ciężkie nieraz trudy pracowali!

I hr. Krasickiego, chociaż został księciem-prymasem i miał nader wielkie dochody, zbiory także poszły w rozproszenie (*). Jedyna myśl pociesza kolekcjonistów wtedy tylko, gdy wiedzą przynajmniej, że ich zbiory w dobre przechodzą ręce, mogące dłużej przechować rzeczy tego warte.

I znowu nasuwa się mimowolnie inne porównanie Krasickiego z Kraszewskim przez niego samego wypowiedziane:

„W zgodnym chórze powszechnych dla Krasickiego uwielbień, znajdujemy wszystkich owego czasu poetów, pisarzy, statystów, cały w najrozleglejszym znaczeniu ogół. Nie ma prawie nieprzyjaciół, niechętnych w żadnym z obozów... Do tego tak powszechnego uznania, oprócz niezaprzeczonych zasług pisarza przyczynia się wielce i to, że się trzymał zawsze zdala od zawikłań politycznych, od stronnictw, od namiętnych porywów, stał pod tym względem na neutralnym gruncie“.

„Podziwiać należy pracowitość człowieka *nieznużonego*, który *ciągle* czemś zajmować się musiał, żeby może o czasach obecnych mózdz zapomnieć“.

„Jest to przywilejem takich natur i temperamentów“.

(*) Dowód tego mamy w 2-ch katalogach: *Galerie slave tirée de la grande collection de J. Krasicki... avec des notices biographiques puisées aux sources originales. 7 vol. in 4-o; oraz Catalogue de tableaux, dessins, bronzes et bustes, faisant la partie de la succession du défunt A. d. G. C. de Krasicki, dont l'enchère publique se fera à Varsovie de 25 Fevr. 1805.*

Część tych zbiorów dostała się do Muzeum berlińskiego.

Tak samo i Kraszewskiego ręką mamy ułożone dwa katalogi w Dreźnie:

„Catalogue d'une collection iconographique polonaise, etc. 1865, str. 291, oraz

„Catalogue des livres anciens de Kraszewski, à Dresde 1870“.

tów jak Krasickiego (dodamy i Kraszewskiego), że starczą na wszystko“.

„Do korespondencyi *rzadko* (a Kraszewski *nigdy*) cudzej pomocy używał; mało się kim wyryczał, a pisał *wiele* (Kraszewski pisze nieskończenie więcej i więcej).“

* * *

Zaledwie z jednego zeszytu *Ateneum* wybraliśmy słowa Kraszewskiego, niecośmy objaśnili je i porównali z Krasickim. Przejdźmy jeszcze do innych analogij.

„To pisarz, co czas swój uosabia, co przoduje epoce, co ją mimowoli w tem, co ona miała najlepsze, wyraża, to... książę biskup Warmiński“ — albo... to, książę dzisiejszych prozaików, Kraszewski.

„U Krasickiego (jak u Kraszewskiego) panuje zupełna zgoda wewnętrznej myśli ze słowem, które ją w świat poniesie“.

„W twarzy Krasickiego czytasz, że potrafi wśród najcięższych czasów wyjść cało, czysto i niestraciwszy na szacunku, zyskując na sławie, niepoślubiając namiętności, godząc się zawsze z nieuniknionem, wesoło dogadzając fantazyom serca i ducha. Zna on swe posłannictwo, wie co mu powierzonym było, pomija wszystko, coby mu przeszkodzić mogło do spełnienia go, idzie do celu z pewnem lekceważeniem tego, co ludzie powiedzą. Potrzebuje wczasu i ciszy; okupuje ją *odosobnieniem*. Mógłby tyle uczynić, wypowiedzieć tyle, gdyby sobie nie usłał na uboczu wygodnego gniazda? (Heilsberg-Drezno). Nie uniesie go ani namiętność gwałtowna, ani złamie wielkie cierpienie; potrafi być panem siebie, zastosować się do warunków, które niepokonana siła czasu narzuci, i dokona dzieła“...

(Dokończenie nastąpi).

MELESZKOWIE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Zbigniewa.

(Dalszy ciąg).

— Otóż ci odrzeknę słowami tego mędrca nad mędrce: „Tygiel srebra, a piec złota doświadcza — lecz pan, tylko sere doświadcza“.

— Pojmuję sens moralny tej paraboli, — odparł Iwon, ale nie pojmuję jaką ona może mieć styczność z moim ożenieniem, do którego miły brat tak mię naglił...

— Nagle! tak, ja cię nagle, miły bracie — rzekł prawie smutno książę Bazyli, — albowiem nie wiecie dnia, ani godziny, jak mówi boski odkupiciel, śmierć jako złodziej przychodzi niewiedomie“ — przeto, musisz się spieszyć, by ostatnia latorośl Sołłhubów wydała ze siebie owoc!

— A więc wskażcie mi, miły bracie, niewiaste, któraby była po waszym guście, i po nauce Salomonowej, a wnet jej się pokłonię i wyznam moje affekta, niebacząc nawet czy moje serce ku niej podąży!...

— Otóż ci na to odpowiem, mój druhu — odrzekł z namaszczaniem książę Bazyli:

— „Kto mówi prawdę, wyrzekł mędrzec pański, opowiada sprawiedliwość — ale świadek kłamliwy mówi zdradę“; albowiem, „mądra niewiasta buduje dom swój, ale go głupia rękami swemi rozwala“.

Czy mię dobrze pojąłeś, miły bracie?

— Niekoniecznie!

— Więc ci powiem jaśniej. Jako owo srebro w tyglu i owo złoto w piecu — jest doświadczone przez mądrych, i jako pan doświadcza sere sprawiedliwych!.. tak i ty, miły bracie, powinienes doświadczyć owej niewiasty, którą masz pojąć za żonę, oraz za matkę dzieci twoich.

— Lecz jakim sposobem ja mogę jej doświadczyć? — odrzekł arcy-logicznie książę Iwon — boć, mi-

ły bracie, jeśli która niewiasta podoba mi się z gładkiego lica i słodkiej wymowy, a zaż już będzie *doświadczoną* niewiastą?...

— Owoż, ja ci powiem, miły bracie, jak masz doświadczyć „biblijnej niewiasty“: tak, jak pan doświadcza serc sprawiedliwych! Gładkie lica prędko więdną, bo są tylko jak kwiat wiosenny; słodka mowa, to najczęściej chytróść i przebiegłość niewieścia; wielka fortuna, to jeno mamona, co nie zostaje długo w ręku posiadającego: jest tylko jedno *mądrość*, co trwa od początku do końca, jak owo jasne słońce, co przyswieca dzień cały!..

— Ależ, miły bracie, kędyż ja znajdę *mądrą* niewiastę? kiedy powszechnie mówią: „że u białogłowy włos długi a rozum krótki“.

— To jest błazeństwo i bezbożność! — odparł prawie gniewnie książę Bazyli. Pan nad nikim nie wymierzył niesprawiedliwości, miałże-by ją uczynić nad niewiastą, co jest matką rodzaju?

Książę Iwon milczał.

— A więc słuchaj, miły bracie, ja ci dam radę i sposób przekonania się o mądrości niewieściej: Pójdziesz do cerkwi, pomodlisz się gorliwie, a potem, z niej wyszedłszy—udasz się na cmentarz. Tamtędy przechodzą wszyscy: jeśli do której niewiasty uderzy ci serce, idź prosto do niej—i... zadaj jej *trzy* pytania, na które gdy ci odpowie mądrze, powinna być twoją żoną.

— A jeśli nie zechce odpowiedzieć?..

— To snadź głupia! od takiej odchodź natychmiast.

— Lecz jeśli mnie nie zna?..—zauważył logiczny książę Iwon,—ma prawo nie odpowiadać:

— Jak-to nie zna!?!—fuknął książę Bazyli—Sołłohubów może kto nie znać!..

— Jakież są te *trzy* pytania — odezwał się nieśmiało posłuszny brat.

— Powiesz jej w ten sens: Mościa panna, nie mam honoru znać cię osobiście, ale musisz wiedzieć, że jestem Sołłohub, i radbym ci zadać te oto *trzy* pytania, na które jeśli mi odpowiesz mądrze i po Bożemu, możesz zostać kniaziovą...

— A jeśli ona?..

— Nie ma żadnego „jeśli“—chyba że głupia...

Pytanie pierwsze dasz takie:

„Co najpiękniejsze na świecie?..“

Drugie: „Co najprzyjemniejsze?..“

Trzecie: „Co najpożądane?..“

I stało się, jak rzekł mądry książę Bazyli.

Kiedy w Niedzielę po Zielonych Świątach, wyszedł z cerkwi książę Iwon i stanął na cmentarzu—ujrzał przed sobą młodą dziewczę bardzo schludnie a skromnie ubraną; ale za to była ładna jak malina, i rzeczy można, iż miała zapach maliny; książę długo się w nią wpatrywał i rzekł do siebie: „Ładna dziewczojala!“ lecz zda mi się, że ją znam?... a, nie myślę się, to córka księdza unity—czyżbym jej miał zadać te *trzy* pytania?..

Gdy książę wpatrywał się w ładną dziewczę i namyslał: czy jej może zadać te *trzy* mądre pytania, dziewczeczka wcale nie widziała księcia, miała bowiem oczy wzniesione do góry i patrzyła na gołębie przelatujące ponad cerkwią.

Snadź chciała dojrzeć Ducha S-go!

A było to ośmnastoletnie dziewczę cudne pięknoscią w swojej prostocie.

Owoż, gdy książę Iwon dobrze się napatrywał na wdzięki „maliny“, zbliżył się do niej, zdjął z galanterii sobolowy kołpak i rzekł uprzejmie:

— Mościa panno, pozwól mi się zaprezentować sobie—jestem Sołłohub...

Dzieweczka pokraśniała jak mak i, oddając ukłon, szepnęła zęicha:

— Mam szczęście znać księcia.

— Panna mnie zna? jakim sposobem?

— A toć ja coniedziela widuję obu kniaziov w cerkwi.

— A kiedy tak—tem lepiej—odrzekł uradowany książę, że nie jest całkiem nieznany pięknej dziewczoj—przeto raczysz mi panna odrzec na *trzy* pytania, której jej zadam.

— Najchętniej—odrzekła z prostotą—jeśli tylko będę umiała.

— A więc—rzekł książę, kłaniając się powtórnie—niech mi pani raczy odpowiedzieć, ale bez namysłu długiego:

„Co jest najpiękniejsze na świecie?..“

Dzieweczka uśmiechnęła się, spojrzła na gołąbki i odrzekła bez namysłu:

— Mnie się zdaje, że „prawda“...

— A co najprzyjemniejsze?—ponowił książę.

— Jużci też „spokój sumienia!“

— A co najpożądane?..

Tu młode dziewczę zamysliło się przez chwilę, boć różne rzeczy przeleciały przez jej główkę—wszelakoż odrzekła roztropnie:

— Rozmaici ludzie, rozmaitych rzeczy pragną! lecz mnie się zdaje, „że najbardziej tego tylko pragniemy, czego nie posiadamy!“

Co usłyszawszy książę Iwon, ukłonił się poraz trzeci i rzekł uroczyście: „Sława Tobo Bohu na Niebiesach.“

Książę Bazyli, zawiadomiony przez brata, jakie otrzymał odpowiedzi od córki księdza, rzekł z namaszczaniem:

— To jest „biblijna niewiasta“ i ta tylko powinna być matką przyszłych Sołłohubów! Iwonie, miły bracie, żeń się z nią, a będziesz szczęśliwy!

Jakoż książę Iwon usłuchał starszego brata; ożenił się z córką unickiego księdza — i był szczęśliwym przez lat kilka, dopóki mu śmierć zazdrośna nie wydarła najmilszej małżonki.

Gerard był jedynym owocem tego „biblijnego związku“ jak się wyrażał książę Bazyli.

VIII.

Wracamy znowu do Meleszkowa i do wypadków tam zaszłych.

Kochankowie widzieli się jeszcze parę razy w gaju Borówki, a była to tylko ranna schadzka. Książę Gerard stanowczo oświadczył Maryi, że nie przestąpi progów jej pokoi pęty, póki jawnie i w biały dzień nie będzie mógł stawić się w pałacu Meleszkowskim! Miał „nadzieję“ i to już wiele dla zakochanych, iż przyjdzie chwila, w której będzie miał prawo upomnieć się o słowo dane przez p. Kasztelanę Meleszkę!

Tymczasem uradzili oboje, iż najwłaściwiej będzie, aby Gerard pojechał do ojca i do stryja, nie zostając dłużej w Borówce, gdzie byle kto mógł zdradzić jego *incognito*.

— Liczę jeszcze—rzekła Marya—na wpływ ojca mego; on ma pewne zachowanie u dworu, ma pewne zasługi!.. Jeśli zechce, jeśli ma serce ojcowskie, to może... ja mu padnę do nóg, będę go błagać!..

— Nie, Maryo, tego nie trzeba: napróżno-bys się upokarzała przed kasztelanem. On swego wpływu nie użyje na rzecz „banity“, bo-by się sam skompromitował. Darmo-bys, mój Aniele, tarzała twą głowę w prochu. Oni dla nas nic nie zrobią!..

— A brat mój?... wiesz przecie, że ciotka dla niego wiele zrobić może? a ona...

— Ona—zawołał sztyderecz Gerard—ona najbardziej pragnie, bym zginał—bo wie, że nie bogaty jak pan Borejsza!.. Oni cię chcą wydać za starca, niedołęę—dlatego, że ma miliony!.. Wiesz sama co jest ich celem, tak baronowej jak i twego brata. Ojciec twój może tu najmniej ma złej woli, bo tam jest jeszcze serce; ale wiesz przecie jaka to natura słaba, niestanowcza, dająca się powodować okolicznościom i ludziom: co dziś przyrzecze, jutro nie dotrzyma; w co dziś wierzy, jutro się tego zaprze. Może to nie jego wina, ale on jest takim,—nieprawdaz?...

— Wszelakoż, on nas bardzo kocha — szepnęła Marya z boleścią—on dobry ojciec, ma swoje błędy ludzkie!.. ale ma i serce!..

— Ja panu Kasztelanowi serca nie odmawiam—mówił z przyciskiem książę Sołłohub, ja wiem, że on ma nerwy niewieście, którymi można poruszać jak strunami, co dźwięk wydają, ale pod każdą ręką co ich dotknie, inny ton zabrzmiał!..

Zresztą, Maryo moja — rzekł ujmując ją za obie ręce—tą nadzieją nie ludź się!.. twój ojciec pragnie bogatego zięcia, bo już prawie zruinowany jego majątek, a wiesz, że jam prawie ubogi, względnie do jego pragnień!..

— Więc niema dla nas nadziei?..—zawołała rozpacznie Marya. A twój ojciec, a twój stryj?... nic że dla ciebie uczynić nie mogą? Jestem pewna, że

gdyby sędziwy książę Bazyli stanął przed królem, król-by mu nie odmówił łaski!..

— Próżne słowa wyrzekłaś moja najdroższa. Stryj Bazyli nikogo w życiu nie prosił o nic, prócz Boga; spokojnie-by patrzył jak mi ścinają głowę a nie poprosiłby o *łaskę*! Ty nie znasz jeszcze pychy tego pokornego sługi Bożego!

— A twój ojciec?..

— Ojciec mój robi to, co stryj każe!.. On nie wierzy sam w siebie, tylko w mądrość brata; to jego cień, echo, sobowót!.. Ani na stryja, ani na ojca mego nie licz! lecz nie rozpaczaj, najdroższa, bo ja mam „nadzieję“... mam ją w Bogu i w sercu mojem; miłość twoja ożywiła wszystko, co już zamierało we mnie; nie rozpaczam od tej chwili i sam sobie powinienem uczynić to, czego inni dla mnie nie mogą, lub nie chcą!

— Więc ty się sam stawisz przed królem!? zawołała Marya, pobladłszy śmiertelnie!.. Gerardzie! to hazard o głowę! a życie twoje i moje!..

— Marylko moja!—zawołał książę pieszczotliwie—nie uprzedzaj wypadków; wierzaj mi, że nie zrobię nic, coby narażało mój honor; że lekkomyślnie nie postawię na kartę naszej przyszłości,—lecz będę działał w Imię Boga, w duchu prawdy i przez wielką moc twojej miłości!..

Marya, zalana łzami, wsparła głowę na piersi kochanka i szeptała zęicha:

— Więc rób, więc działaj!.. O nic już nie pytam, nie badam twego planu! Wierzę, święcie wierzę, iż cokolwiek uczynisz, będzie godnem i szlachetnem, drogi Gerardzie; twoja „nadzieja“ i mnie do serca wstąpiła!

— Więc słuchaj mię, drogi aniele — mówił Gerard przyciskając namiętnie do serca kochankę, musimy się rozstać. — Jutro ztąd wyjeżdżam, pisać do ciebie nie będę, chyba w razie niebezpieczeństwa! za miesiąc najdalej, albo mnie ujrzyysz wyzwolonym spod kłatwy banicyi, albo... włożysz żałobne szaty jako wdowa!

Po wyjeździe księcia Sołłohuba z Borówki panna Julia przez trzy dni była niepocieszoną; płakała rzewnie i głośno, narzekając na zdradę mężczyzn w ogólności, a w szczególności na tych, co „są malarze z włoskiej krainy!“

— Gdybyż choć zrobił moją „malaturę“—mówiła chlipiąc — miałabym *pamiętkę*, a tak coż!.. ponadawał mi „złotości“ którymi ja gardzę!..

Jak widzimy, panna Kopciówna bezinteresownie pokochała pięknego księcia.

Perswadowała matka, perswadował ojciec, aby się biedaczka nie oddawała tak wielkiej rozpacz; lecz nic nie pomagało!.. trzy dni trwał bezustanny lament! Nareszcie Opatrzność ulitowała się tak marnie wylanym łzom i zesłała pociechę... w osobie kasztelanica-lejtnanta.

Pan January, dnia jednego polując na cietrzewie, spotkał w gaju załawioną pannę Kopciównę.—Wszezęła się rozmowa. P. January umiał użyć stosownego dowcipu do osoby i do okoliczności i przy rozstaniu odważył się nawet głośno a serdecznie pocałować w rumiany policzek pannę leśniczanę. Naturalnie, panna Julia obraziła się trochę, ale nie tak bardzo, jakby to była uczyniła, gdyby ją pocałował jakiś oficyalista!.. zawszeć to-pocałunek JW. Kasztelanica wart coś więcej!..

Błyszczący lejtnant prosił i zaklinał, by piękna *Jūlchen* przyszła jutro to samo miejsce,—wyznał jej albowiem, że od pierwszego spojrzenia zakochał się w niej szalenie.

Panna się drożyła, nie obiecywała przyjść; wszelakoż za odchodzącym obejrzała się razy kilka,—i, powiedzmy prawdę, jeszcze uczucie wierności czwała się w jej sercu — rzekła bowiem do siebie, myśląc o „malarzu z włoskiej krainy“:

— Ah! czemuż mię tamten choć raz tak nie pocałował! Jakżeby był szczęśliwa!..

Na drugi dzień traf tak zrzędził, że znowu w gaju Borówki spotkali się pan Kasztelanic i panna Kopciówna.

Już była weselsza; już oczy się śmiały,—a choć jeszcze nie śpiewała, piosnka już błędziła po ustach. I na trzeci i na czwarty dzień ponawiała się niewinne spotkania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

AKSAMITNA SUKNIA

(PODLUG RĘKOPISMA JANA WARDYŃSKIEGO Z CZASÓW
PANOWANIA ZYGMUNTA III)

skreślił

K. Wł. Wójcicki.

Nad brzegami Dniestru, na wyniosłym wzgórzu, stał obszerny dwór modrzewiowy pana Podkomorzego Smólskiego, który go z małżonką swoją i liczną rodziną zamieszkiwał.

Rodzina ta składała się z trzech starszych synów dorosłych, którzy zdala od rodzinnego gniazda służyli wojskowo w chorągwiach hussarskich i pancernych, i pięciu córek, z których dwie od lat kilku zamężne, na Pokuciu zamieszkiwały, a z trzech przy rodzicach jeszcze mieszkających średnia wiekiem za mąż właśnie wyjść miała.

W dzień oznaczony na gody weselne zjechała się cała rodzina Podkomorzego, liczni krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi. Sama pani Podkomorzyna, pomimo lat sędziwych, już od rana krzątała się zwawo, to nagląc córkę swą, Joannę, żeby kończyła przygotowania do stroju ślubnego, to wydając kluczniczy rozporządzenia do weselnego obiadu.

Ślub miał się odbyć rano w pobliskim kościele parafialnym. Z wielkiej szafy roztwartej naściężaj, Podkomorzyna wydobyła suknię białą aksamitną, w którą się panna młoda ubrać miała. W zamierzonych tylko domach taką suknię dziewice przywdziały na ten dzień uroczysty dla siebie, gdyż aksamit w ową dobę był rzeczą nader kosztowną. Z tego powodu suknię aksamitną po ślubie zazwyczaj panna młoda zwracała matce, która ją troskliwie na dalsze lata dla młodszych swych córek przechowywała.

Współczesny *Krzysztof Falibogowski* pisze:

„Aksamit nie był tak pospolity jako dziś onych czasów, jedno to w domach senatorskich ledwo się zeszło mieć szatę aksamitną: albo musiał być urzędnikiem koronnym, albo dobrze mającym szlachcicem. A kiedy miał szatę aksamitną, a miał kilka córek, wszystkie o jednej szacie za mąż wydał, którą jako świętość do tak zacnego aktu chowano.“ (*Discurs marnotrawstwa i zbytku Korony Polskiej*, przez *Krzysztofa Fr. Falibogowskiego*. Kraków, 1625 r.).

I ta suknia, w którą się młoda i piękna Joanna przybrała, z pośpiechem trefiąc bujne włosy, już była po dwakroć używana, w niej bowiem już dwie starsze siostry stawały u stopni ołtarzy.

Skromny parafialny kościółek, przybrany gustownie w kwiaty i dywany, oczekiwał tylko na przybycie młodej pary, kiedy nagle i niespodzianie jak piorun spadł rozgłos:

— *Tatarzy! Tatarzy!*“

Krzyk i zamieszanie powstały w całym dworze w tłumie zgromadzonych gości. Gdy jedni gotowali się do krwawej walki, drudzy, a szczególnie kobiety, z wrzaskiem trwogi uciekały, chroniąc się gdzie mogły po lochach, piwnicach, na poddaszu, i w obszernym ogrodzie dworskim.

Dorodna Joanna, w sukni białej aksamitnej siedziała przed zwierciadłem z uśmiechem radości, marząc o bliższym szczęściu przy boku narzeczonego, którego gorąco kochała. Na ów krzyk trwogi zpośród marzeń zerwała się nagle; a ledwie zdołała rozpuszczona warkocze nawiązać, kiedy usłyszała pukanie do okna.

Przybiegła — patrzy: to jej narzeczony Onufry Przyjemski, porucznik hussarskiej chorągwi nadwornej królewicza Władysława.

— Joanno! zawołał. Na Boga! Otwieraj i uciekaj póki czas, bo za chwilę zginiemy!

Na głos ukochanego zarzuciła tylko na głowę chustkę wełnianą i oknem otwartym wyskoczyła na ogród.

Przyjemski z Joanną zwrócił się w stronę gęstego lipowego szpaleru; przyspieszał kroku, — w końcu tego szpaleru stał rumak krwi arabskiej trzymany przez zbrojnego pacholka.

Nietracąc czasu, Przyjemski porwał swą narzeczoną i, razem dosiadłszy dzielnego bieguna, ruszył wyciągniętym klusem, dróżną pomiędzy błotami, które po świeżej ulewie były niedostępne.

Przebywszy ostatnią groblę, dostał się na gościniec większy, obsadzony gęsto dębami i jarzębiną.

A z dworu Podkomorzego dochodziła wrzawa i odgłosy strzałów. Przyjemski wyteżył wzrok: czy prędko te aleje przebędzie, bo w jej końcu zaczynało się miasteczko, gdzie stała jego chorągiew: byle tam dotrzeć, będzie zbawiony!

Już z sercem bijącym z radości ujrzał wieżę kościelną, dosłyszał dzwony klasztorne, wzywające wiernych na poranne nabożeństwo, kiedy nagle z boku uderzył ucho jego wrzask dzieci pogańskiej, która na bachmatach swych przez pola pędząc, chciała go odciąć od miasteczka.

Przyjemski zadrżał, nie o siebie, ale o ukochaną Joannę, która, jakby omdlała, wspierała głowę na jego piersi. Wojak dał do kwi ostrogę arabskiemu, a ten dobywając sił ostatnich, jak ptak pomknął naprzód!

Pohańcy ujrzawszy, że ich pościg nadaremny, wypuścili grad strzał na tę parę uchodzących. Kilka ich odbiło się o kirys hartowny hussarski; ale aksamit sukni ślubnej nie mógł się oprzeć sile ciosu i jedna strzała całym żełezcem utkwiała w piersi Joanny.

Piekielna rozpacz owładnęła Onufrego: wpatrzył się w narzeczoną. Strumień krwi wytrysnął był na suknię aksamitną, i, jak czerwona wstęga, przepływał całą.

Zraniona jękała; zaczęła blednąć; różane usta posiniały, a oczy pełne ognia, życia i wyrazu miłości, powoli zachodziły mgłą ciemną.

Przyjemski z przerażeniem patrząc na konającą, jakby chciał duszę, w tem drobnem ciałku utrzymać, przyłożył usta swoje do jej ust sinych, i tak ją całował jeszcze, gdy pierś jej ostatnie już oddała technienie.

Już z trupem narzeczonej wpadł na rynek, wrzaskiem boleści napełniając powietrze. Zbiegli się towarzysze broni; wnet cała chorągiew stanęła do szyku i z uczuciem zemsty pośpieszyła na obronę dworu Podkomorzego.

Przyjemski, zostawiwszy w klasztorze Bernardynów trupa swej ukochanej, pośpieszył za towarzyszami.

Pomoc chorągwi hussarskiej w sam czas nadbiegła. Zguba godowników weselnych była pewną, bo sam wódz już z wyborowym hucem właśnie miał na podwórzu dworu Podkomorzego się wdrzeć, gdy hussarze, rozbiwszy przednie oddziały Tatarów, uderzyli wreszcie i na główny ich zastęp.

Krótko trwała walka. Tatarzy rozbici i wycięci w pień, a sam wódz, kopią zrzucony z konia przebity ostrym koncerzem, leżał krwią zbroczony, z wylupionymi oczyma, z zakrwawioną brodą, bełkocąc jeszcze ustami na progu bramy, gdy nadbiegły za swą chorągwią Przyjemski nań spojrzął i z obrzydzeniem wzrok swój odwrócił.

Podwórze całe było zapełnione niewolnikami powiazanymi przez Tatarów, którzy mieli ich pędzić w jassy do Perekopu.

Szlachta i chłopci, kobiety i dzieci, — wszystko to stanowiło ten zbity tłum, który, poznawszy swych wybawców, powitał ich okrzykiem serdecznej radości.

Podkomorzyna z dwiema córkami znalazła bezpieczne schronienie na poddaszu dworu: teraz razem z dymnika powiewając chustkami, łączyły swój okrzyk szczęścia na widok hussarzy i Przyjemskiego.

Podkomorzy stał pod gankiem na czele swych krewnych przyjaciół i gości. Trzymał w ręku rusznicę nabitą, a iskrzącym wzrokiem spoglądał wokoło.

Szlachta gęstym wieńcem otaczała Podkomorzego, oczekując jego komendy i skinienia. Kilkanaście trupów leżało w pobliżu; byli to pierwsi obrońcy i krwią swoją opłacili bohaterski opór.

Podkomorzyna zbiegła corychlej z poddasza, a chwytając za rękę Przyjemskiego, pyta drżącym głosem:

— Gdzie Joanna?

Dzielny hussarz na to pytanie ryknął tylko straszonym płaczem, wskazując ręką na niebo: a oderwany od pancerza wiązankę ślubną rozmarynu, nią lży swoje ocierał.

Odskoczyła od niego nieszczęśliwa matka i z rozpaczą chwyciła się za głowę.

Niedługo na podwórzu wjechał wóz chłopski, wysłany wysoko słomą, nakrytą białym płótnem: na nim spoczywały zwłoki Joanny z raną w pier-

siach i niezastygłą jeszcze strugą krwi czerwonej na ślubnej szacie.

Ręka jakaś przyjazna włożyła na skronie zmarłej wianek z róż białych, który smutnie, żałobnie wyglądał przy czarnych kruczych warkoczach, spadających na ramiona.

Podkomorzyna na ten widok zerwała się, chciała uściśnąć trupa ukochanego dziecięcia, ale padła bez przytomności, niedoszedłszy do wozu.

Ojciec wydał krzyk rozpaczony i przykląkł; wszyscy stali jak skamieniały.

Po chwili przytomniejsi pobiegli na ratunek nieszczęśliwej matki i rozpaczającego ojca; inni zwłoki zabitej ponieśli coprędzej do dworu, gdzie w sali bawialnej, przystrojonej na gody weselne, złożyli je naprędce, na dużym stole, ostawiwszy kwiatami i gorejącymi jarzącymi świecami.

Kiedy rodzice opuścili podwórze, przeprowadzeni do komnat dworskich, znaleźli grono gości swoich klęczące i modlące się przy zwłokach, a księdza proboszcza śpiewającego pieśń żałobną.

Ten widok nanowo poruszył boleścią straszną ich serca, którą tylko modlitwa mogła nieco uspokoić.

Przyjemski w pancerzu i hełmie stał jak słup nieruchomy z wlepionymi oczyma, w leżącą na katarfalku narzeczoną, przynięcioną niewymowną rozpaczą.

Powoli dopiero zaczął przychodzić do przytomności, gdy Podkomorzyna porwała go za rękę i wprowadziła do pobocznego pokoju.

— Onufry! wyrzekła drżącym głosem, na miłość Boską powiedz jak się to stało?

Przyjemski padłszy na kolana, zająknął rzewnym płaczem, poczem jak umiał opowiedział rzecz całą. Matka, ujmując jego głowę i całując, przemówiła:

— Nie twoja wiina, kochany Onufry. Tyś stracił żonę, a nas od śmierci niechybnej uratowałeś. Bóg tak zrządził, święta Jego wola! Bóg dał, Bóg wziął!

Słowa te ulżyły nieco boleści młodzieńca.

Hussarze zwijali się dzielnie; cały koszt Tatarów albo wycięty, albo zabrany do niewoli, a brańcy polscy ze wsi i dworów, uwolnieni z więzów, błogosławiąc swych wybawców, popowracali do domów.

Nazajutrz odbył się pogrzeb Joanny, któremu towarzyszyli zwycięzcy hussarze. Podkomorzyna kazała zdjąć suknię aksamitną ze zmarłej córki i zawiesiła ją z płaczem na dawnym miejscu.

Odkaż każdego roku w rocznicę urodzin i śmierci ukochanej Joanny, otwierała tę szafę, spoglądała na zakrwawioną suknię, zapalała dwie gromnice, i modliła się gorąco za duszę córki w takim kwiecie wieku zgasłej.

I teraz oto stoi przed ślubną szatą swego dziecięcia ocierając lży rzewne i głośno łkając, mówi:

— Już cię nie przywdzieje do ślubu żadna z moich córek, ani z moich wnuczek, żadna z naszego rodu! Będziesz wisiała tu na zawsze dopóki cię czas nie strawi!

I po tych słowach całowała kraj szaty, na której ślady krwawe blade i nikły; ale rany serca matczyne zawsze były świeże, i czas nawet zagoić ich nie zdołał.

Od owego smutnego zdarzenia w całej okolicy ponad Dniestrem i na Pokuciu, jak dodaje w swoim rękopiśmie Jan Wardyński, zarzucono używanie aksamitu na ślubne suknie, i przywdziewano tylko białe z jedwabnej materii; odtąd też panny młode zdobiły sobie skronie w wieńce z białych róż na pamiątkę Joanny, co zginęła w dniu swojego ślubu — i w takim też wianku nieszczęśliwe dziewczę pochowanym zostało.

NOWINY PARYZKIE.

Wystawa powszechna.

III¹⁾.

Paryż d. 15 Października 1878 r.

Przed otwarciem Wystawy Powszechnej w Paryżu, i jakby w przeddzień tego otwarcia, pisząc

¹⁾ Dwa pierwsze listy paryzkie, poświęcone Wystawie powszechnej, pomieściliśmy w Nr 37 i 39 pisma naszego. (*Przyp. Red.*)

do was, dałem ogólny zarys, pobieżny rzut oka, że tak powiem na to: czemu ją tu mieć chciano? czego się spodziewano od niej? dodałem i pewne obawy, jakie budził w niektórych umysłach zamiar tak olbrzymi, a powtarzający się w tak krótkim czasie, po innych Wystawach świata. Dziś, w przeddzień zamknięcia, czas jest powiedzieć słów kilka: czemu Wystawa była w istocie; w jakiej mierze oczekiwania i nadzieje wielu spełniły się za jej przyczyną; i czy było co gruntownego w obawach tych ludzi, co z usposobieniem pesymizmu, który niezemu nie przebacza, widzieli w projektowanej wystawie jakiegoś tylko zawody i nieuchronne upadki.

Powiedzmy zaraz, że powodzenie Wystawy, było niezaprzeczenie wielkie, a nawet większe, aniżeli można się było spodziewać z powodu pewnych politycznych warunków, między którymi wojna na Wschodzie pierwszą trzymała miejsce. Ale, jeżeli we współdziałaniu narodów Rodziny Europejskiej znalazły się ważne i dotkliwe przerwy, zato pośpiech, z jakim rzuciły się ku wystawie, inne znowu narody, nawet z najodleglejszych krańców świata, zapełnił w części przynajmniej te przerwy, i dorzucił nawet ten rodzaj jakby ostrzejszego smaku, co leży w okazach obcego i gruntownie różniącego się przemysłu narodów, których cywilizacja na innej zupełnie niż europejska rozwinęła się zasadzie.

Olbrzymi nawał przywiezionych zewsząd okazów, a umiejętna i prawdziwie artystyczna zdolność uszykowania ich, zdolność wykazana przez delegowanych wszystkich prawie narodów, dozwoliły utworzyć tę całość, wspaniałą i piękną, która nie ma czego zazdrościć innym, a może sama posłużyć za najlepszą modłę.

Pod względem więc całości, blasku i porządnego szyku, Wystawa paryzka, odpowiedziała w pełni swemu założeniu: zgromadzić przemysł świata całego, i dać każdemu stosowne, odpowiednie pole do opisu, zadowolić wszystkie wymagania, zaspokoić chęci, spełnić nadzieje, ułatwić stosunki, zbliżyć ku sobie zaofiarowanie i kupno. Wszystko to się znalazło tutaj, i każdy z dalekich przybyszów, wrócić może do domu z tem przekonaniem, że promień wspólnej oświaty przeniknął wszędzie, i że na całej przestrzeni naszej planety, jest jakby wiecznie drgająca nić elektryczna, wspólne objawiająca życie.

Pod tym więc względem stało się zadosyć wszelkim wymaganiom. Widzieliśmy przemysł powszechny, bo przemysł świata całego, w jego najwspanialszych objawach — i tu jest może to pierwsze *ale*, które wypowiedzieć się godzi, nawet w obec tak niesłychanego, nierównanego powodzenia. Widzieliśmy, mówię, najwspanialsze objawy przemysłu świata całego; ale nie widzieliśmy *prawie* tych okazów, któreby, odpowiadając żywotnej zasadzie naszego czasu: „*przystępność dla wszystkich*“, pokazały nam dotykalne wypadki przemysłu na drodze najtańszego odbytu, a przytem najdoskonalszych wyrobów.

We wszystkich oddziałach Wystawy, u wszystkich narodów, widzimy przemysł dochodzący w swych wyrobach do ostatecznej prawie doskonałości. Bogactwo, przepych, wdzięk, artyzm nawet, uczucie prawie — tak potężne piętno wycisnęły na każdym okazy, że ludzie, których fortuna hojną obdarza ręką, mogą prawdziwie powiedzieć, iż są panami świata. Gdziekolwiek spojrzysz, w najodleglejsze strony ziemi, wszędzie prawie znajdziesz okazy przemysłu, dziwnej piękności, ale też i dziwnie wysokiej ceny. Wszędzie więc są bogaci i możni — i największa część okazów danego kraju staje się własnością ludzi, z kraju tego właśnie pochodzących.

Prawdę mówiąc, nie potrzebowaliśmy na to Wystawy powszechnej, aby dojść do przekonania, że wszędzie są ludzie bogaci i ludzie ubodzy. Ale, nieszukając wcale socjalistycznych lub nihilistycznych utopij, godzi się przecież zapytać: czy przemysł ludzki, wzięty w całym swym ogromie, a takim jest on właśnie na Wystawie powszechnej, czy przemysł ten, nie ma innego celu i dążności, nad zaspokojenie z ostatnim wysiłkiem, chęci i pragnień tych, którzy, przesyleni najczęściej, nie wiedzą sami czego mają pragnąć? Raz jeszcze powtarzam i kładę jaknajwiększy nacisk, na to, iż wcale socjalistą nie jestem. I dlatego czuję się swobo-

dnym zadać to pytanie, wobec tego, na co oczy moje patrzą z zadziwieniem i z niedowierzaniem od sześciu miesięcy.

Wszak nie potrzebuje to żadnego dowodzenia, iż żyjemy w czasach, kiedy rozpowszechnione światło i dobrobyt stały się jakby żywotną potrzebą wszystkich. Dziś człowiek źle odziany, źle karmiony i mieszkający w brudach, jest wyjątkiem, nawet w takich mrowiskach ludzkich jak Londyn i Paryż. Coraz-to bardziej staje się widocznym, że w tym stanie upośledzenia jest pewna osobista wina, jakby zamię grzechu pierwotnego, niezmyte poświęceniem chrztu, prawości i wytrwania w dobrem. W takich więc czasach gdzie przemysł stoi wobec ogółu a nie wobec wyjątków, gdzie żyje ogółem, jemu służy i, z niego wychodząc, do niego powraca, najwyższem i najpięknijszem jego zadaniem powinno być rozumne zaspokojenie potrzeb tegoż ogółu.

Ja myślałem, że na Wystawie spotkam te wspaniałości i bogactwa, będące jakby koroną przemysłu, który też ma swoje stopnie wywyższenia i swoją złotą księgę majstrów nad majstry. — Byłem więc przygotowany zobaczyć te cuda twórczości ludzkiej; pragnąłem nawet je ujrzeć; ale też spodziewałem się również, że i ta druga strona mych marzeń i chęci zaspokojoną zostanie szeroco, w pełni. Otóż w tym względzie zawód był zupełnym, bo jeśli nie braknie okazów, które jako wartość i jako wyrób dostępne są dla wszystkich, — bo i czegoż tu braknie na tej Wystawie? — okazy te są w mniejszości i jakby zawstydzone prostotą swoją, kryją się gdzieś po kątach, gdzie trudno jest czasem odszukać je i zobaczyć. Specjaliści nawet skarżą się na to, że okazy jednej i tejże samej natury, ale różnych narodowości rozproszone są tak, iż trudno je widzieć i porównywać wygodnie.

Tak więc pod względem zaspokojenia rzeczywistych potrzeb ogółu, większość spożywającej i kupującej, nie prawie nie zrobiono na Wystawie Powszechnej, gdzie wszyscy wystawcy zajęci byli jedynie współubieganiem się o lepsze w piękności i bogactwie okazów. Naturalnie, że są wyjątki, bo inaczej być nie mogło; ale, jak już mówiłem, wyjątki te są rzadkie. Znajdziemy je w machinach w ogólności, a w machinach i narzędziach rolniczych w szczególności. To nawet co się dzieje na tem polu przemysłu, jak każdy wyjątek potwierdza moją regułę, że prawdziwym celem Wystawy Powszechnej powinno być okazanie tego, co i gdzie się robi najlepiej i najtańiej. Mówiąc o machinach i narzędziach rolniczych, nie zapomnijmy o jednym z naszych przemysłowców, który chociaż się ograniczył do skromnego i jedynego przemysłu: wyrobu kół drewnianych, dostał przecież wielki medal, właśnie dlatego, że koła jej pokazały się najlepszymi i najtańszymi zarazem ze wszystkich kół świata. Przemysłowcem tym jest pan Podbezki, a urządzony przezeń pawilon, złożony z samych kół tylko, jest jedną z ciekawości, *attractions* Wystawy Powszechnej. Tak rozumiany przemysł nie chybia celu i staje się zachętą dla drugich, a miło też jest pomyśleć i powiedzieć *urbi et orbi*, że to zdrowe zrozumienie zadania znalazło swoje zastosowanie dzięki usilności naszego rodaka. Sadzić się na kosztowne i piękne meble, na bogate i wspaniałe materye lub makaty, na niesłychanej doskonałości rzeźby — jest to rzecz piękna zapewne; ale robić porządnie, sumiennie a tanio, wszystko, co do przemysłu należy, to piękniejsze jeszcze.

Nie wątpię i mam to przekonanie potwierdzone przez wszystko, co słyseż wokoło siebie, a wychodząc z ust najpraktyczniejszych ludzi, że przyjdzie do tego, iż na przyszłych wystawach bogate, rzadkie i drogie rzeczy będą wyjątkowo tylko stanowić ich ozdobę, a większość zapełnią okazy najtańszych ale najlepszych rzeczy. Ekonomiczna reforma, która prawie niepostrzeżenie się dopełniła, a której skutki widzimy wokoło siebie codziennie, to jest: dobrobyt i lepsze opatrzenie potrzeb codziennych ogółu i klasa rzemieślniczych po wielkich miastach — reforma ta dopełniła się bez krzyku, bez gwałtów, bez filozofujących przewódców, dopełniła się powolnie i cicho, bo leżała w naturze rzeczy. Otóż i przemysł, chcącnie chcąc musi iść w ślady tej reformy, bo w tem jest jego prawdziwa przyszłość. Pałace i wielkie gmachy nie

pojda w ruinę; ale lepianka wzrośnie nad ziemię, sciany jej sklecają się z lepszych materyałów, światło i powietrze czyste przeniknie wewnątrz; a ludzie, lepiej odziani i karmieni, większą też masę pracy przyniosą do wspólnej działalności na kuli ziemskiej. Bo jak światy idą ku jakiejś niezgłębionej tajemniczej mgławicy w nieskończonej przestrzeni, tak ludzkość idzie do celu, który jej wytknął palec Boży — a na tej drodze on sam jeden tylko może ją prowadzić i bez oficjalnych pomocników obejdzie się łatwo.

Wystawy powszechne, jak je urządzało dotąd, to jest poświęcone wyłącznie prawie bogactwu i zbytkowi, oraz temu, cokolwiek służy do utrzymania zbytku i do wyczerpania bogactwa — w jednym tylko kierunku mają sprawiedliwość za sobą: w kierunku sztuk pięknych. Malarstwo i rzeźba, które ze swej natury są zbytkiem i zadowoleniem zbytkowej, wykwintej, prawie rozpieszczonej strony serca ludzkiego i umysłu wzniesionego wyżej nad poziom ziemskiego żywota: sztuki piękne znalazły się tutaj jakby w świątyni, w przybytku poświęconym dla nich tylko i dla ich wymagań. Doskonałość, będąca warunkiem ich życia, daje równie pobudkę do poszukiwania tego wszystkiego, cokolwiek może podnieść i wyswiecić przymioty piękna, zależące najczęściej od pewnych warunków, w których muszą się znaleźć tak artyści jak i publiczność, zdolna ich ocenić i zrozumieć właściwie. Niedosyć jest posiadać piękny obraz lub znakomity posąg: potrzeba jeszcze aby całe jego otoczenie odpowiadało wartości dzieła. Plody natchnienia i namysłowego wysiłku człowieka nie mają miary i wagi zwyczajnej; a ztąd dostępne są tylko dla tych, którzy mogą stosownem wynagrodzeniem opłacić tego rodzaju wyłączną i nierównaną pracę.

Pod tym względem Wystawa Paryzka, która tak ogromny dział wyznaczyła sztukom pięknym, prześcignęła wszystko, cokolwiek widziano na poprzednich wystawach. — Rozkosz, jakiej doznać dano było inteligentnej publiczności wobec tak niezmiernego bogactwa i przepychu, jakimi jaśnieje wystawa sztuk pięknych, jest niedoopisania. Widzieć zebrane razem to wszystko, cokolwiek świat ducha i natchnienia potrafił wydać w ciągu ostatnich lat dziesięciu na wszystkich punktach ziemi — od północy do południa, od wschodu na zachód; zwiedzić wszystkie pracownie artystów; najświetniejsze znakomitości każdego kraju móż obok siebie zestawić, porównać; osądzić ich nie tylko materyalną pracą, ale przeniknąć aż do pobudek prawie natchnienia; tu zapytywać o przyczynę upadku, tam poklaskiwać powodzeniu; być wolnym, niezależnym sędzią w tym natłoku ideałów świata, pomysłów, rodzajów, stylów i manier: są to, zaprawdę, zadowolenia duchowe takiej miary i takiej doniosłości, o jakiej zaledwie wolno jest marzyć.

Te są pociechy i zadowolenia dla wszystkich, dla ogółu. Ale o ileż miłsze i serdeczniejsze są one dla nas Polaków, którzy na każdym kroku i w każdym oddziale jesteście jakby u siebie, wszędzie spotykając polskie imię, zapisane pomiędzy najpierwszymi z najlepszych! Dla nas uczucie doznane, wrażenie odebrane jest jeszcze głębszem niżli dla innych; bo te imiona naszych artystów mówią na cały głos świata, że społeczeństwo żyje, a jednostki w niem przedniejsze umieją wybiegać na czoło narodów w pracy wytwórczej, najszlachetniejszej ze wszystkich.

Znajdujemy tu naukę i zachętę, znajdujemy wskazówkę, że na tej drodze oświaty i pracy jest przyszłość. Dosyć jest cofnąć się myślą ku pierwszym chwilom dzisiejszego stulecia; dosyć jest przypomnieć sobie czemu była u nas sztuka 50 lat temu: aby zrozumieć, jaką przebiegliśmy drogę i ku jakim wyżynom podnieśliśmy się w duchu. Bo nie oni tylko sami, nasi ulubieni artyści, poszli tak wysoko: wszyscy nasi poszli razem; nietylko oni w pierwszym znaleźli się rzędzie, ale cały naród jest z nimi, — inaczej oni z narodu wyjśćby nie mogli. Przecież, jakkolwiek wielką jest rozkosz, której doznają, nie zapominam i tego, co mię uderza: wszędzie jesteście i wszędzie dobre, a nawet najlepsze często, zajmujemy miejsce; a przecież jakże rzadko jesteście w swojej skórze! We wszystkich kierunkach pędząc wysoko, nie mamy swojej szko-

ły narodowej. Nie mówię tu wcale o tej szkole, co to kształci rysowników albo kolorystów, ale o szkole, któraby w pomysłach swoich rodzimą, własną naszą, niedonaśladowania dla obcych była. Gdy mamy takich mistrzów jak Matejko... i... nie chcę wymówić drugiego nazwiska, bo mistrz Krakowski gotów pomyśleć, że umyślnie robię porównania; czemu nie mamy uczniów jego, naśladowców zdolnych, na wysokości doskonałego artyzmu stojących?—przynajmniej tu ich nie widzę; nie widzę naśladowców, jeżeli nie tych przymiotów i zalet, które są nienaśladowaną własnością Matejki, to tego uczucia, co każde natchnienie czerpie z polskiego źródła i z polskiego życia; naśladowców tego umiłowania rodzinnej zagrody, co to, jak powiadają, „i dym słodkim czyni“... Ale, jeśli nie możemy mieć wszystkiego, czego pragnie dusza, cieszymy się przecież, że na tych wyścigach świata, i to w ich najpiękniejszym oddziale, zajęliśmy tak godne i tak ważne miejsce.

RUCH MUZYCZNY.

Panna Bardelli i pani Jakowicka. Panna Szczepkowska jako Fides—i „Prorok“.—Pan Hofman i krytyka.—Pp. Górski i Michałowski—i... publiczność.

„Trubadur“ powrócił pani Jakowickiej (zaangażowanej na czas dłuższy przez Dyрекcyę Teatrów), oraz pierwszy występ w Wielkim Teatrze panny Bardelli, napełniły salę teatralną od góry do dołu w dniu 15 b. m. O pani Jakowickiej pisać obszerniej w tej chwili byłoby zbyt ciężko. Rok ubiegły nie ujął nic ze znakomitych przymiotów głosu i śpiewu artystki, która, władając w pełni swemi środkami, zachwyca nas zawsze jednakowo. Akcja dramatyczna, która, rzecz można, nie jest najznakomitszą stroną występów pani J. była jednak dobrą i szlachetną. Powodzenie przedstawienia, o którym piszemy, w znacznej części się należy pannie Bardelli, która była wyborną Azuceną. Głos panny B. jest przyjemny, dość silny, wszakże nie jest to jeden z tych głosów odznaczających się dźwięcznością; dlatego pod względem samego głosu występ ten wyglądał dobrze, lecz trochę błado. Szczególniej wysokie nuty z scenie z aktu drugiego, przy potężnym akkompaniamencie orkiestry ginęły zupełnie. O ile jednak głos ten nie potrzebuje przebijać się przez masy choralne lub instrumentalne, o tyle nie można mu zaprzeczyć szlachetnego dość brzmienia. Panna B. nadto śpiewa nader poprawnie (lubo bez wielkiego mechanizmu), umiejętnie i z niemałym uczuciem, spotęgowanym grą wyborną i wyrazistą. W każdym więc razie talent panny B., jako nieposledni, zasługuje na to, aby z Teatru na Długiej ulicy (Eldorado),—gdzie p. B. dotąd ze swą trupą śpiewała—przeniósł się na czas dłuższy na wielką scenę, której niemałe może oddać przysługi (1).

Czy panna Bardelli posiada prawdziwy głos kontraltowy? Tak sądzę, i z tego właśnie powodu pożądanymi byłyby jej występy w rolach, zwykle u nas z konieczności powierzanych głosom mezzo-sopranowym. Z drugiej znów strony przyznać trzeba, że nielatwo o głos kontraltowy, któryby w górnym rejestrze mógł posiadać siłę i blask, jakich wymagają nieraz kompozytorowie. Dlatego naprzykład tak często głosy mezzo-sopranowe zyskują powodzenie w podobnych ustępach, zwłaszcza gdy brzmienie ich posiada charakter szlache-

tny i trochę jakby przyćmiony [fabrykanci fortepianów nazywają taki głos u instrumentu *minorowym* (moll), zaś jaskrawszy *majorowym* (dur)]. Z tego względu nawet rola Fides w „Proroku“ może nieraz z powodzeniem być powierzona nie-prawdziwym kontraltom. Nie można zaprzeczyć, że występ panny Szczepkowskiej w tej roli był szczęśliwym. Wprawdzie nuty niskie były czasem bezbarwne, ale całość roli wydawała się bardzo pięknie, zaś sceny potrzebujące większego nateżenia głosu w górnych nutach—bardzo były *efektowne*. „Prorok“ jest to niezawodnie dzieło, w którym efekt gra wielką rolę; wszystko w nim jest instrumentacją i sztucznością, nawet partye wokalne traktowane są niekiedy zupełnie po orkiestrowemu, przedstawiając nader sztuczne kombinacje. Z tego względu wielki duet Berty i Fides w czwartym akcie, jakkolwiek niezmiernie *ciekawym i interesującym*, nie może się bynajmniej zaliczyć do numerów *sympatycznych*. Te wszystkie kanoniczne wejścia głosów, te imitacje, rytmy synkopowane, dyssonanse etc. z pewnością wpływem szczerzego uczucia być nie mogły: toteż mimo dobrego ich wykonania, mimo zasługi jaką przyznać zawsze należy artystkom, które zdołają tak wielkie pokonać trudności—wrażenie jakie to sprawia, zwykle bywa chłodnem. Panna Wojakowska z roli Berty wywiązała się dość szczęśliwie, intonacja była czystą, tylko poezji było brak. Postać zaś matki Proroka, zaprzeczyć nie można, że przez grę dobrą i śpiew staranny miała pewien poetyczny urok; szczególniejszą arią „Synu mój“ ładnie była wykonana. W piątym akcie, tego wieczora, niezupełnie dobrze wydało się Andante kunsztownej arii w więzieniu. Dla pana Cieśliewskiego „Prorok“ jest zawsze jedną z najlepszych ról. Niepodobna też nie oddać należnego uznania pracy dyrektora Trombiniego, oraz orkiestry i chórów, których sprawą dzieło całe, mimo średnich w przecięciu sił solowych, miało wiele jednocy i mogło być wysłuchane z przyjemnością i pożytkiem. Obecnie repertuar ożywi się niezawodnie przez udział pani Jakowickiej; boleśnie nam tylko, że choroba pani Dowiakowskiej pozbawia nas chwilowo dobrze już przestudowanego *Lehengrina*; zjawienie się tej opery na naszej scenie, słusznie czy niesłusznie, słynącej z opieszałości, będzie jednak prawdziwie ważnym i doniosłym faktem.

Dwa ostatnie wieczory Srodowe w naszym Towarzystwie Muzycznym były nader interesujące. Na pierwszym wystąpił poraz pierwszy jako fortepianista p. Hofman, autor „Żaków“, obecnie profesor harmonii w konserwatorium. Pan H. z panami Trombinim i Goebeltem odegrał Trio *D moll* Mendelssohna, oraz solo trzy utwory: Kantatę Bacha, *Am Springbrunnen* Schumanna i *Venezia e Napoli* Liszta. Pan H. posiada mechanizm wysoko rozwinięty, palce z wielką wprawą i swobodą, lubo nie z porywającą brawurą, pokonywały duże trudności tarantelli Liszta; w Trio Mendelssohna najwięcej się nam podobało Scherzo, które mimo przyspieszonego tempa zagrane było z wielką wyrazistością, lekkością i wdziękiem. W ustępach expressyjnych czuło było pewien brak swobody, pochodzący, jak się zdaje, z małej emocji, która zniknąć powinna po oswojeniu się z *namami*. Publiczność bowiem Warszawska jest trochę grymasna, ma swoje sympaty i antypaty niezawsze usprawiedliwione, a krytyka niezawsze ją umie dobrze za rękę poprowadzić. Często o tem samym wykonaniu spotykamy zdania wprost przeciwnie, które czasami pojedynczo, a czasem i ogólnie wzięte, potrzebowałyby sprostowania i pewnej kompetencji. Jakkolwiek fortepian jest instrumentem najbardziej rozpowszechnionym, jednak i o nim nie zawsze spotykamy sądy bez zarzutu; to też pan Hofmann w niemałym był podobno kłopotcie, gdy przeczytał

w jednym piśmie, że „gra jego była bezbarwną“ a w drugim że odznaczała się „barwą i kolorytem“. Prawda, jak sądzę, leżała w posrodku, to jest, że pan Hoffmann, cokolwiek niedysponowany skutkiem wzruszenia, *nie zawsze potrafił* być barwnym. Przynajmniej o ostatniej sztuce Liszta wrzec by się nie godziło, że wykonanie jej było pozbawione kolorytu.

Publiczność nasza—mimo tylu swych sympatycznych zalet,—bywa często i niewdzięczną. Wszakże każdy występ pana Górskiego przyjmuje z wielkimi oznakami zadowolenia; wszakże i prassa, dość wyjątkowo zgodna w tym punkcie, nie szczędzi mu słów uznania: i oto trafia się, że artysta, zmuszony okolicznościami domowymi do wyjazdu z rodziną aż do Egiptu, daje pożegnalny koncert, napełnia programat pięknymi i ponętymi dziełami—i... koncert jest prawie pusty. To wstyd trochę, doprawdy!—Tu mi się przypomina, że nieboszczyk Moniuszko do ostatniego w życiu swem koncercie dopłacił tylko 14 rubli, a taki fortepianista jak pan Michałowski wołał przeszłego roku odwołać koncert niż ponosić niepotrzebne koszta na salę! I nie mówmy na obronę naszą, że inni artyści nieważą przecież dobre koncerty, bo swe *powodzenie* w tym względzie najczęściej winni są pewnej zapobiegliwości, pewnej nareszcie *forsie* ze strony znajomych, o czem—dla ocalenia swej godności, artysta nie wie, albo udaje, że nie wie...

P. Górski dał nam poznać kilka własnych kompozycji, bardzo dobrze napisanych, z których jedną, *La Zingarella*, powtórzył na wieczorze w Tow. Muzycznym. Utwór to bardzo miły i oryginalny, w stylu isticie węgierskim. Nader ciekawym efektem w tym *morceau* jest zupełnie nowe przestrojenie skrzypiec, dotąd zdaje się nigdzie nieużywane. Wiadomo, że najniższa struna skrzypcową stroi się zwykle na *G (mate)*, pod drugą dodaną dolną w kluczu wiolinowym), a dalsze struny kwintami do góry: *d, a, e*. Otóż pan Górski obniża pierwszą strunę aż na *e*, drugą na *h*, trzecią na *e* jednokreślne, a czwartą (kwintę) zostawia według dawnego stroju na *e* dwukreślne. Powstaje ztąd efekt dźwięku cokolwiek przytłumiony i ponury, oraz dziwnie poetyczny koloryt przez częste współczesne brzmienie trzech *e* (wiadomo że struny *czyste*, to jest nieprzycięnięte palcem, wydają ton osobliwie łagodny i dźwięczny).

Pan Michałowski grał na tym wieczorze jak... anioł;—gdyby kto tak rysował, porównałbym go do Rafaela;—gdyby szył, to do brabantkiej koronczarki; gdyby tańczył to do Taglioni lub do... panny Cholewickiej (która, niestety, naszą choreograficzną osierociła scenę). Etiuda Liszta (*f moll*) była zagrana tak po mistrzowsku, z takim wykończeniem, że nie piękniejszego wymarzyć nie można. Zdaje się, że to nie palce, ale jakies ich cienie ślizgają się po klawiszach, uderzenia tam nie słyhać, tylko wyraźnie jakby szmer wiatru po harfy eolskiej strunach, te *crescenda* i *decrescenda*, ten światłocień, był cudowny—przypominał obraz Meissoniera, siatki pajęczce, rzeźby Brodzkiego! I znów wkraczam w zaczarowane koło porównań i gotowem obracać się w niem bez końca!—Jednym słowem, grał pan Michałowski cudownie, co i publiczność oceniła wołając gwałtownie: „bis!“ a gdy artysta zagrał nad program taniec węgierski Brahms'a, to znów wołano; *bis* aż do upadłego i pan M. musiał zagrać coś jeszcze... i byłoby tak bez końca, gdyby to było... wolno! Ale trzeba było położyć granice naszej chciwości i nie nużyć więcej poczciwego i grzecznego mistrza;—wkrótce, mamy nadzieję, że pan M. da nam swój koncert, na który powinniśmy przyjść tłumnie! Dixi!

Pani Uszyńska i pan Horbowski miłym i inteligentnym śpiewem przyczynili się do usświetnienia wspomnionego wieczoru.

Jan Kleczyński.

TREŚĆ. Tęsknota, poezya, przez Maryę Konopnicką. — Nauka i wychowanie dziewcząt, II. (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Krasicki i Kraszewski, przez Hip. Skimborowicza. — Meleszkowie, powieść, (dalszy ciąg), przez Zbigniewa. — Aksamitna suknia, przez K. Wł. Wójcickiego. — Nowiny paryżkie. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.